

Szymon Wróbel: Powódź i polityka

Gdy słyszymy kolejne złe wieści, możemy oczekiwać, że przeszliśmy od zwykłego kryzysu ekologicznego do czegoś, co zamiast tego należy nazwać głęboką mutacją w naszym stosunku do świata. Czy jesteśmy do niej zdolni? Czy jesteśmy gotowi na porzucenie konsumpcyjnego stylu życia? Nawet Hegel w swej fenomenologii ducha nie mógł przewidzieć, że nadejście antropocenu tak radykalnie odwróci kierunek projektu modernizacji, tj. że ludzie nie będą zanurzeni w przygodach ducha absolutnego, ale w przygodach geohistorii, gdzie głównym aktorem będzie dwutlenek węgla – pisze Szymon Wróbel.

W ostatnich tygodniach września nasz kraj, a także Czechy i Słowację, a później Chorwację, dotknęła tragedia powodzi. Przez miasteczka, pokroju Łądek-Zdrój, czy Kłodzko przelała się rzeka, która jawnie zdrwiła z ludzkich roszczeń i stratowała cywilizacyjne aspiracje człowieka. Ta powódź okazała się tym bardziej przykra i dotkliwa, że nastąpiła po fali suszy, podczas której media informowały nas codziennie o niskim stanie wód, jezior, rzek, które zwyczajnie zamierały. Wydawało się, że widok Wisły, która sprawiała wrażenie zbioru wysp z wąskimi strumykami wody nie opuści nas na dłuższy czas. Zbiorniki wodne odsłaniały swe ukryte wcześniej przed okiem dno. Dwa tygodnie po tych medialnych obrazach umierających rzek zostaliśmy zalani obrazami rzek przepełnionych, topiących się ludzi i zwierząt, miasteczek i wsi. Kontrast był porażający. Od stanu pustynnego przeszliśmy, w przeciągu tygodnia, do stanu powodzi godnej Noego.

Jaki wniosek należałoby wyprowadzić z tej kontrastowych skrajnych zachowań klimatycznych? Czy nadal przynależymy do wieku skrajności, tyle, że nie politycznych, ale przyrodniczych? Znaczenie epoki człowieka, zwanej antropocenem, zaczyna dopiero do nas docierać. Już wiemy, że zmiany klimatyczne postępują szybciej niż postępy naszej wyobraźni. Niestety, mówienie o „kryzysie” byłoby kolejnym sposobem na uspokojenie. Mówiąc, że „to minie”, „kryzys wkrótce za nami” – posługujemy się fałszywym pustostowiem. Z pewnością, gdy słyszymy kolejne złe wieści, możemy oczekiwać, że przeszliśmy od zwykłego kryzysu ekologicznego do czegoś, co zamiast tego należy nazwać głęboką mutacją w naszym stosunku do świata. Czy jesteśmy do niej zdolni? Czy jesteśmy gotowi na porzucenie konsumpcyjnego stylu życia? Nawet Hegel w swej fenomenologii ducha nie mógł przewidzieć, że nadejście antropocenu tak radykalnie odwróci kierunek projektu modernizacji, tj. że ludzie nie będą zanurzeni w przygodach ducha absolutnego, ale w przygodach geohistorii, gdzie głównym aktorem będzie dwutlenek węgla.

Paralelny wobec przesilenia klimatycznego – prowadzący od pustyni do powodzi, był obraz władzy w Polsce, na tle którego wyróżniał się wizerunek premiera Donalda Tuska. Jeszcze w lipcu Donald Tusk, ujawnił w mediach intencję zorganizowania igrzysk olimpijskich w Polsce. Poparły ten projekt znaczące intelektualnie osoby. Uczeni socjologowie kiwali potakująco głowami i zadawali retoryczne pytanie: dlaczego nie?, w końcu jesteśmy już narodem nie tyle się modernizującym ile zmodernizowanym. Nasza wyobraźnia stale nękana obrazami olimpijskiego Paryża i premiera Emmanuela Macrona, który dzięki igrzyskom zbudował nowy kapitał polityczny i wytworzył wyimaginowaną wspólnotę, „zjednoczonych”, po niefortunnych wyborach, Francuzów, poszybowała pod niebiosa.

Widzieliśmy już w Warszawie ogień olimpijski. I u nas w Wilanowie można zorganizować turniej szermierczy, a i Wisła pewnie jest nie bardziej zanieczyszczona od Sekwany. Pływający w niej zawodnicy nie potrują się bardziej niż w Paryżu. Przy kolumnie Zygmunta miło byłoby obserwować kolejne rekordy bite przez Armanda „Mondo” Duplantisa.

Nie minął miesiąc a o aspiracjach olimpijskich już zapomnieliśmy. Zapomnieliśmy o letnim obrazie premiera Tuska, który w otoczeniu rajskiego ogrodu Łazienek oznajmia narodowi jego nowe fantazje i wytycza najdalsze aspiracje. Teraz po fali deszczów i powodzi widzimy premiera Tuska na falochronach. Tym razem nie jest to władca zarządzający naszymi pragnieniami. Tym razem jest to władca zarządzający naszymi potrzebami i koniecznościami. To nie tyle wizjoner, ile troskliwy gospodarz, który broni ludzi i kraju przed nadciągającą katastrofą.

Media przez ostatnie tygodnie września rejestrowały procesy zarządzania kryzysem. To był ciekawy eksperymenty socjologiczny. Wszystkie stacje telewizyjne wyświetlały jeden spektakl – spektakl zarządzania katastrofą. Premier jeszcze tydzień wcześniej wyrokował, że sytuacja jest poważna, ale nie dramatyczna. Jakże premier żałował tych słów już po tygodniu. Sytuacja była jednak dramatyczna. Jesteśmy na wojnie z żywiołem natury, wielką nieobliczalną masą wody. Premier zrozumiał powagę chwili oraz polityczne możliwe skutki swoich nieobliczalnych słów, zwołuje sztaby kryzysowy i w otoczeniu swoich ministrów – Włodzimierza Kosiniaka-Kamysza (ministra Obrony Narodowej) oraz Tomasza Siemoniaka (ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji Publicznej), wreszcie przedstawicieli wszystkich możliwych służb od rana do nocy monitoruje, nadzoruje, dowodzi, pyta, wskazuje niedomagania, wreszcie roztropnie ostrzega i radzi.

Lato i wakacje minęły, o olimpiadzie już nikt nie pamięta, wszyscy żyją terażniejszością, która jest straszna. Premier emanuje wysiłkiem i zmęczeniem, a nie olimpijską euforią. Nie spaceruje już po zielonym parku, wśród kwiatów, ale po zgliszczach i domach tonących w błocie, wysłuchując wiadomości od zwykłych ludzi, którzy mówią – „państwo zawiodło”. Teraźniejszość ujawnia ludzką nędzę. Ludzie są spustoszeni, upokorzeni, zalani. Przepłynęła po miastach kolejna fala i stało się to, co niewyobrażalne, tj. powtórzyła się sytuacja z największej powodzi z 1997 roku. Powtórzyło się to, co nie miało się powtórzyć.

Premier Włodzimierz Cimoszewicz w 1997 roku zapłacił za swoją niefortunną wypowiedź skierowaną w stronę powodzian, sugerującą, że państwo nie ma obowiązku zwalczania lekkomyślności mas, swoją pozycją w świecie polityki, naruszoną na całe życie. Premier Cimoszewicz na pytanie, czy powodzianie dostaną odszkodowania z rezerwy budżetowej, odpowiedział bardzo nieroztropnie. „Potwierdza się, że trzeba być przezornym, trzeba być zapobiegliwym, trzeba się ubezpieczać...” – to wypowiedź szefa rządu z 8 lipca 1997 roku. Mimo, że Cimoszewicz dopowiadał, iż możliwa będzie pomoc rzeczowa instytucji publicznych, także państwowych i samorządowych dla osób poszkodowanych, od tego czasu rząd SLD-PSL walczył nie tylko z katastrofą naturalną, ale i wizerunkową.

W tym samym sezonie powodziowym mieszkańcy wsi Łany nie zgodzili się na kontrolowane zalanie swoich domów i pól, by ocalić Wrocław przed nadchodzącą falą. Ekonomia strat nie przemówiła do ludności wiejskiej. Opole zostanie zalane 10 lipca. Fala kulminacyjna dotrze do

Wrocławia dwa dni później. Taka jest historia zmycia rządu SLD-PSL. Powódź to rzecz ściśle polityczna, a właściwie biopolityczna. Obrona miast przed powodzią to walka na śmierć i prze-życie.

Umieśćmy sprawy polskie w szerszym tle. John McPhee w książce *The Control of Nature* opowiada o tym, jak ludzie w wieloraki sposób przeciwstawiają się czynnikom naturalnym – wodzie, pożarom, osuwiskom, lawie. W jednym rozdziale swej książki opisuje on bitwę, którą inżynierowie prowadzą nie przeciwko sile wrogiej armii, ale rzeki Mississippi. Mississippi zostaje podstępnie schwyтана przez znacznie mniejszą rzekę o nazwie Atchafalaya. Jeśli Mississippi stale płynie na wschód od Nowego Orleanu, dzieje się tak dzięki sprytnemu dziełu rzemiosła, tj. tamie, zbudowanej w górnym zakolu rzeki. McPhee opisuje rzekę jako działający podmiot. Rzeka Atchafalaya odprowadza 30 procent wody napływowej Mississippi u jej źródła, 300 mil od Nowego Orleanu. Dzięki stromemu nachyleniu Atchafalaya zostaje zmieniony bieg Mississippi. Ze względu na kluczowe znaczenie Mississippi dla przemysłu całego regionu, inżynierowie zbudowali konstrukcję kontrolującą stan wód u źródła. McPhee przekonuje, że miasteczko Morgan City w Luizjanie zostanie zniszczone, jeśli brzegi rzeki się podniosą. W przypadku nieoczekiwanego podniesienia stanu wód miasto zalałoby trzy miliony stóp sześciennych wody. Ludzka myśl inżynieryjna przegrałaby z naporem mas wody.

Premiera Tuska widzę dziś nie tyle jako sprytnego rzemieślnika, ile niczym generała Kutuzowa, który musi reagować nie na wojnę, zdradę, dwuznaczne intencje przeciwnika, jego niejasne zamiary, ale na napór nieoczekiwanej lawy. Widzę go niczym inżyniera, który stara się przeciwdziałać zalaniu Opola i Wrocławia, tak jak amerykańscy

inżynierowie z pomocą rzeki Atchafalaya, próbują uratować Morgan City. Premier Tusk na falochronach, zdaje sobie sprawę, że zalany Wrocław to byłby koniec jego kariery politycznej.

Kim jest dziś Donald Tusk? Z pewnością, jest roztropnym, silnym władcą, który kontroluje przebieg zdarzeń na pierwszym froncie walk. Tusk stoi od dawna na froncie, a w zasadzie na różnych frontach. Premier Tusk reaguje irytacją na wypowiedź powiedź ministry klimatu Pauliny Hennig-Kłoski, która proponuje ludziom pożyczki. Dobry władca proponuje darowizny, tj. skupia się na wypłatach bezzwrotnych, które muszą dotrzeć do zalanych ludzi. Wezwany jest nawet minister skarbu Andrzej Domański, który wyjaśnia zawilości ulg podatkowych: komu?, dlaczego?, ile?, pod jakimi warunkami? Wszystko jednak grzecznie obiecuje, aby tylko odeprzeć groźbę zalania.

Tusk podczas powodzi przypomina nieco prezydenta Ukrainy Wołodymira Zeleńskiego. Ubrany tylko w koszulkę, T-shirt, młodzieżową bluzę z kapturem i nadrukiem, nieogolony, z zatroskaną miną, przechadzający się po straconych terytoriach, pytający ludzi o zniszczenia, premier staje się ponownie dobrym i czułym władcą. To generał Kutuzow dokonujący przeglądu wojsk i dodający ducha żołnierzom. To władca, który mówi żołnierzom, o tym, że należy bronić przyczółku cywilizacji przeciwko szaleństwu wody. Tusk nieustannie wzywa swoją ekipę do raportu. Premier to także mierniczy, który na konferencjach zadaje służbom kłopotliwe pytania, pokroju, czy nie da się obliczyć i przewidzieć, o ile wzrośnie poziom wody w rzece znając masę przepływu, w zakresie błęd statystycznego, który nie przekracza 30 cm?

Takie pytanie ostatnio, podczas studiów, zadawał nam studentom profesor Jerzy Brzeziński na zajęciach ze statystyki. Dziś rozum statystyczny jest zresztą jedynym rozumem. Skoro jednak pomiar jest tak ważny, to dlaczego premier Tusk nie wezwał na konferencję ministra nauki Dariusza Wieczorka? Powinien także wezwać jego zastępcę profesora Macieja Gdulę, jakby nie było tłumacza książek Bruno Latoura na temat polityki natury. Być może jednak ten ostatni był zbyt zajęty reformą Polskiej Akademii Nauk. Pytanie Donalda Tuska do służb monitorujących stan wód polskich o przewidywalność i moce predykcyjne nauki, szczególnie meteorologii, jest kluczowym pytaniem polityki. Ciekawie, jak w jednym punkcie – punkcie pomiaru – polityka i nauka sobie dziwnie towarzyszą.

Sam premier ostrzega szabrowników i innych cwaniaków, którzy chcą zarobić na ludzkiej nędzy, że nie będzie łagodnego traktowania takich przypadków. Spojrzenie premiera jest tak surowe, że sam się przestraszyłem i zrobiłem szybko rachunek sumienia, czy jakiegoś przekrętu nie mam sumieniu. Władca Tusk to sędzia, kapłan, bankier i inżynier w jednej osobie. Nie koniec jednak na tym. Na polityce twarzy nie wyczerpuje się polityka władcy. Władca wzywa na pomoc silniejszego władcę. Premier Tusk zaprasza na pomoc Europę. Zostaje wezwana do Wrocławia, na dzień przed szczytem fali powodziowej, szefowa Komisji Europejskiej Ursula Gertrud von der Leyen, aby uzyskać bezpośredni panoramiczny wzrok, tj. zobaczyć zagrożenie na własne oczy i obiecać ludziom astronomiczne pieniądze. Obiecać im to, że ich obecna klęska zamieni się w przyszłości w nową falę modernizacji. Fala pieniędzy ma zalać fale zniszczeń.

Gdyby nie było to tragiczne i nie pasożytowało na ludzkiej nędzy, byłoby to po prostu komiczne. Taka jest cena podtrzymywania wizerunku władzy. Dobry władca Donald Tusk w żywole walki z nieprzychylnym i obcym mu wrogiem, który rozlewa się wszędzie jak ta woda i prze naprzód drwiąc z ludzkich trosk, musi zrobić wszystko, aby ludzie uwierzyli w dobroć, troskliwość i przewidywalność władzy. Woda jest jak plebs, jak motłoch wszędzie wejdzie i wszystko przeniknie. Wszystko zmyje. Oko władcy jest jednak na szczęście zdolne dotrzeć i przewidzieć wszystko, nawet żywioł wody. Ręka władcy jest jak grobla, która zatrzyma masę błota. Premier Tusk koryguje się i mówi do narodu: musimy być gotowi na wszelką ewentualność. Musimy być gotowi nawet na to, co nieprzewidywalne. Masa powodziowa także powinna być obliczalna.

Powódź się skończyła, Wrocław został tym razem uratowany. Zbiornik w Raciborzu zdał egzamin. Tauron, który dokonał nieprognozowanego zrzutu wody do zbiornika Mietków, o czym nie zostały poinformowane nawet Wody Polskie, chyba nie zdał egzaminu. Jaki wniosek polityczny należy z tej lekcji wyprowadzić? Być może geoinżynierią należy objąć Ziemię jako całość. Wtedy takie zrzuty będą kontrolowane. Do tego potrzebna byłaby władza na skalę planetarną. W skali lokalnej pytanie brzmi: czy premier Tusk zdał egzamin, zamieniając jednego dnia garnitur Macrona w koszulki Zeleńskiego?

Nie jestem pewny, sam nie dałem wiary twarzy Donalda Tuska, ale zastanowiła mnie ta raptowna zmiana, która nie da się wytłumaczyć tylko potrzebą chwili. Przemiana od wizjonera przyszłych olimpiad po marszałka polowego organizującego wojnę z wielką wodą – to ciekawa metamorfoza. Dokąd zmierzasz, mądry roztropny i przyjazny ludziom

władco, chciałby zapytać obywatel, siedzący przy ekranie telewizora? Tam sam obywatel pamięta także Donalda Tuska udającego filozofa, cytującego gęsto Habermasa i jego tezy na temat Europy i racjonalności komunikacyjnej. Podczas powodzi komunikacji chyba zabrakło, choć były obecne nieustanne raporty.

Oczywiście, można argumentować – jak to robi Wojciech Duda – że w swej pochopnej analizie nie biorę pod uwagę, że państwa polskiego nigdy nie cechowała sprawność i współdziałanie, a konsekwencje jego rozregulowania lub zdemoralizowania za czasów rządów PiS przeszły wszelkie wyobrażenia. „Rzeczpospolita nigdy nie była krainą gigantów, ale teraz jest to świat karłów” – pisze do mnie w liście szef „Przeglądu Politycznego”. Być może to prawda, ale jak wyjaśnić w takiej sytuacji fakt, że państwo, które jeszcze w lipcu zgłasza gotowość do organizacji olimpiady, powołując się na swój sukces modernizacyjny, we wrześniu nie jest zdolne do obrony przed powodzią, uzasadniając to opóźnieniem modernizacyjnym? Może ktoś to rozumie, ale nie ja. Z pewnością powódź pozwoli nam się jeszcze bardziej zmodernizować, tak jak wojna z Rosją pozwoli się zmodernizować Ukrainie. Myśląc Jonathanem Swiftem, spytałbym także dlaczego myślenie o państwie jako państwie liliputów ma skutkować obrazem władcy jako nadczołowieka?

Dziś już wiemy, że koszty odbudowy zalanych terenów sięgną 0,5 procent PKB. Premier ogłosił powołanie pełnomocnika rządu ds. odbudowy po powodzi. Został nim Marcin Kierwiński, były szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji i – jak rozumiem – przyszły prezydent Warszawy, który musiał z tego powodu zrezygnować z mandatu europosła. Być może to słuszne decyzje. Premiera Tuska wyobrażam sobie jako człowieka, który pozwoli kiedyś wspominać

epokę „wielkiej wojny ekologicznej” z dumą ludzi, którzy prawie ulegli, ale którzy jednak wygrali, odkrywając, jak odwrócić sytuację na swoją korzyść, szybko mobilizując wszystkie siły i wynalazczość. Bóg obiecał Premierowi Tuszkowi niczym Noemu, że nie ześle już nigdy powodzi, nigdy więcej nie przeklnie ziemi z powodu człowieka, mimo że każda skłonność jego serca jest zła i nigdy więcej nie zniszczy wszystkich żywych stworzeń, tak jak to uczynił podczas epoki złości na niegodnych jego miłości ludzi.

Tymczasem rząd ogłasza walkę z nową powodzią – powodzią alkoholu. Polacy piją za dużo, a alkohol jest zbyt tani. Należy podnieść minimalne ceny alkoholu niczym groble, a wraz z nim podatek od wszystkich trunków. Walka z powodzią przyjmuje nowe kształty, choć nikt już powodzi nie widzi. Poza groźbą zalania Polski niekontrolowanym żywiołem wody, tj. powodzią w sensie dosłownym i metaforycznym zagrożeniem morzem alkoholu, które trzeba wyeliminować podatkiem, jest jeszcze zagrożenie powodzią dewastująca granice polityczne, tj. powodzią uchodźców, nad którymi trzeba zapanować stanem wyjątkowym, tj. czasowym i terytorialnym zawieszeniem prawa do azylu. Każda władza korumpuje, ale władza wielokrotnie zagrożana powodzią, korumpuje absolutnie.

Szymon Wróbel

Fot. Jacek Halicki, CC BY-SA 4.0